

B: Od jak dawna mieszka Pani w [M2]?

R: W 1962 roku, w grudniu, myśmy tutaj przyszedli, bo ja byłam stypendystką z Uniwersytetu, a ponieważ wyszłam za mąż, również za lekarza, dali do wybory Krosno albo tę miejscowość. A tę miejscowość znałam z dzieciństwa, bo tu bracia mojej mamy podnosili z gruzów – jeden odlewnię, drugi papiernię, bo to byli inżynierowie i tu się osiedlili. Jeden tutaj został, miał dzieci – Jasiak, ja tutaj wakacje spędzałam, stąd znam tę miejscowość z dzieciństwa... Jeszcze jak nie było mostu na rzece, był prom, dylżans woził... No i dlatego jak było do wyboru Krosno, o którym nie miałam zielonego pojęcia jak wygląda, albo [M2], no to zamieszkaliśmy tutaj, byliśmy potrzebni w tutejszej społeczności. Po jakimś czasie dostaliśmy małe mieszkanie, potem się to rozkręciło, zbudowaliśmy na wysypisku śmieci, żeby nas Niemcy stąd nie wyrzucili – „w razie co”, na wysypisku śmieci ten dom... Tutaj kości też moich rodziców leżą na cmentarzu, dla nas miejsce też jest. To już jest nasz heimat, dzieci się tu porodziły, wnuki też, no i tak to jest... To już od sześćdziesiątego drugiego roku tutaj jesteśmy. Proszę sobie wyobrazić, to jest pięćdziesiąt pięć lat.

B: A wcześniej, skąd Pani pochodzi?

R: Moje pochodzenie jest trudne do określenia, bo urodziłam się w [nazwa miasta], ale tylko dlatego, że moja mama miała czterdzieści lat ojciec ją zawiózł do kliniki w [nazwa miasta w woj. podlaskim]. Wybuchła wojna, ojciec do Katynia, a mama mnie pod pachę i do krewnych do Warszawy przez zieloną granicę. Wojna w Warszawie, a po powstaniu mama do miasta w Wielkopolsce, bo tam był jej brat. Potem ojciec, udało mu się wykaraskać z tych opresji wszystkich, bo był po powstaniu złapany też do Pruszkowa, no ale udało mu się też. Wie Pani, najważniejsze to znać języki wrogów. Bo moja mama sobie dała radę, bo doskonale znała rosyjski, a ojciec doskonale znał niemiecki i w ten sposób udało im się wykaraskać z tych nieszczęść. Tam zaczęłam chodzić do szkoły, skończyłam edukację – gimnazjum i poszłam na studia. Mając siedemnaście lat poszłam do Poznania na studia. A po studiach jak już powiedziałam stypendium ufundowane i obowiązek odpracowania.

B: No i jak tak Pani się przygląda tej miejscowości, to co to jest za miejsce? Jak Pani o nim myśli? Jacy tu są ludzie, jaki tu jest klimat? Jakby to miała Pani opisać?

R: Proszę Panią, dla mnie to już jest heimat. To jest rodzinna miejscowość, tyle lat przeżycia. Ludzie są sympatyczni, ja ich znam od podszewki dlatego, że to większość przeszła przez moje ręce na położnictwie. Mężowi też są oni bliscy, bo to wszyscy jego pacjenci. Był przecież nawet taki okres, że szłam z wnukiem na spacer, a wnuk mówi „Babcia ty noś transparent *Dzień dobry*, bo ty stale musisz mówić *Dzień dobry*”. Ludzie są sympatyczni, ludzie cenili nas i cenią nas, odnoszą się do nas z szacunkiem, nigdy nie było jakichś ans między nami. Nawet jak w zawodzie medycznym zdarzają się dramaty, nigdy nikt nie wytaczał jakichś armat przeciwko nam. Tak że ja oceniam tę miejscowość jako konglomerat ludzi miłych. Zresztą, wie Pani, tutaj nie pozostało właściwie wielu autochtonów. Autochtonów mieliśmy trochę. Była salowa, na sali operacyjnej była jedna oddziałowa, ale bardzo sympatyczne, miłe dziewczyny. Poza tym, ponieważ blisko było do NRD, to myśmy czasem na wakacje jechali z dziećmi nad jeziora, też bardzo sympatycznie, miło. Nie było jakichś takich powiedzmy ans między nami. Część rodziny mojego ojca też w Niemczech... Absolutnie nie widzę powodu do jakichś problemów. A jeżeli chodzi o jakąś taką multi kulti, to na przykład moja mama w S. chodziła do cerkwi słuchać, nie dlatego, że była wyznania prawosławnego, bo katoliczka, ale chodziła słuchać śpiewów pięknych. I tutaj jak naszej oddziałowej, szefowej pielęgniarek, był pogrzeb, Larysa taka była wyznania prawosławnego, był pogrzeb z całą obstawą cerkiewną, to przecież był wspaniały koncert muzyki cerkiewnej na cmentarzu. Tłumy były. Nasza edukacja medyczna tutaj dalej trwała, bo przyszliśmy tutaj jako stażyści, kolejne etapy – specjalizacja, pierwszy stopień, drugi stopień, od studenta do ordynatora ta cała nasza kariera.

B: Czyli tak jak powiedziała Pani, zna Pani całą masę ludzi tutaj ...

R: Tak, bardzo dużo.

B: Rodzina...

R: No w tej chwili się wynieśli.

B: Mówi Pani, że ma Pani wiele takich relacji, że poznaje Pani kogoś na ulicy...

R: Tak, oczywiście.

B: Ale takich też przyjaciół bliższych, czy oni też tutaj mieszkają?

R: Oczywiście, z sąsiadami to żyjemy jak bracia, nawet mamy wspólną furtkę, bo po co chodzić na ulicę, tylko tutaj przez furtkę i już. Tak, że wszystko dobrze... Obchodzimy w maju Dzień Sąsiada – ostatni wtorek maja jest dzień sąsiada. Zbieramy się i po kolei: ten dom, ten dom, my sąsiedzi zbieramy się... Oczywiście każdy przynosi co uważa na stół, no i siedzimy parę godzin spędzamy razem, pogoda dopisuje, a jak nie dopisuje to w domu siedzimy.

B: Ale to jest taki wasz dzień sąsiada, czy taki całego miasteczka?

R: Nie, my tutaj mamy na swojej ulicy. Czasem niektórzy, na przykład Pan K. nie bardzo sobie życzy towarzyszyć nam w takich uroczystościach. Bardzo miły człowiek, miły, tylko jakiś taki oddalony może od takich bliższych stosunków. Ale jego żona jest bardzo sympatyczna, teściowa miła... A tutaj Jaśkowie, ci z drugiej strony, my, wszyscy razem uroczystości spędzamy ten dzień sąsiadów. Do nas to jeszcze przychodzi moja koleżanka lekarka, jeszcze przychodzi pani, która nam tutaj sprząta. Zresztą do wszystkich przychodzi, bo tak to jest. Zresztą jak ja mam tutaj gości, bo do mnie rodzina przyjeżdża w czasie wakacji, no to goście też idą na ten dzień sąsiada. Jak jest u nas to jeszcze pomogą, a jak gdzieś indziej to też są zaproszeni. Tak że uroczystości odbywamy Dzień Sąsiada. Tak, że widzi Pani to są pewne takie aspekty, które świadczą o tym, że społeczeństwo jest żyte.

B: A jakby miała Pani powiedzieć, woli Pani odwiedzać innych, czy lubi przyjmować gości u siebie w domu?

R: Wie Pani, kiedyś to był dom otwarty jak był człowiek młodszy. Jak Pani widzi, pokój jest duży, można przyjąć dużo ludzi, ten stół też się rozkłada, z powodzeniem prawie dwadzieścia osób siądzie. Teraz ze względu na wiek jest trochę ograniczeń. Teraz jak większa uroczystość, to wynajmuje się knajpę... No też umawiamy się, na przykład znajomi zapraszają do lokalu, idziemy, posiedzimy tam chwilę, tak, że życie towarzyskie się toczy. No, a największa przyjaźń to jest z sąsiadami najbliższymi. Tym bardziej, że B. to są w pewnym sensie spokrewnieni, bo mojej synowej ciotka to jest Pani B. Pół tej miejscowości to jest albo rodzina, albo przeszli przez moje ręce. Kiedyś była taka historia: wychodzę z cmentarza, podchodzi kobieta w średnim wieku prowadząca jakiegoś takiego trzylatka, czterolatka i mówi: „Dzień dobry Pani Doktor, pamięta mnie Pani?”, a ja oczywiście nie pamiętam, bo kto może spamiętać. A ona mówi: „Pani mnie odbierała, a widzi Pani? To jest mój wnuk!”. Tak to jest (*śmiech*).

B: Chciałabym, żeby opowiedziała mi Pani teraz o tym, kogo i w jakich okolicznościach na ogół Pani odwiedza i jak często? Wiemy już coś o Dniu Sąsiada, ale tak na co dzień. Jakby się tak zastanowić – zależnie i niezależnie od świąt. Jak to wypada, gdzie Pani najczęściej chodzi i tak dalej.

R: Wie Pani, ze względu na wiek, to można powiedzieć, że raczej nie chodzę i tylko takie historie jak imieniny. To jest towarzystwo – koledzy, koleżanka pediatryczka, kolega laryngolog, kolega internista, jego żona też internistka, a nie, on jest mikropediatra, ona jest internistką... To są okazjonalne, imieninowe spotkania. A świąteczne spotkania to są właściwie poświęcone rodzinie, przyjeżdża rodzina, zięć też jest jedynakiem, więc jego rodzice też są zaproszeni, no i to tak bywa... Ale takiego powiedzmy chodzenia, przychodzenia gdzieś – na to nie ma czasu. Ze względu na mój wykonywany zawód. Póki widziałam dobrze, to siedziałam w książkach, bo wie Pani, medyk to tłucze te swoje sprawy... Zaczyna się naukę, ja zaczęłam dokładnie w

wieku sześciu lat a skończyłam specjalizację w wieku trzydziestu sześciu lat, więc trzydzieści lat się uczyłam. Potem jeszcze cały czas trzeba się doksztalać, bo postęp jest szalony i wszystko trzeba wiedzieć. Poza tym, uczyłam innych jako ordynator. I w związku z tym musiałam być na bieżąco. Potem jak przestałam już pracować i gabinet też już zamknęłam, no to zaczęłam czytać książki i czytałam, wszystko starałam się nadrobić. Szczególnie pasjonuje mnie historia. Tak, że wszystkie historyczne książki jakie są w domu, a biblioteka jest spora – chyba z cztery tysiące tomów, to wszystko zostało przeczytane, a to co nie zostało to teraz mąż czyta, bo ja nie przeczytam. Posługuję się teraz tymi audiobookami.

B: A wracając do tematu tej gościny i spotkania się czy to z okazji imienin czy takie bardziej konwencjonalne czy mniej konwencjonalne, czy zdarza się, że odwiedza Pani kogoś tylko dlatego, że tak trzeba i tak powinno się robić, niekoniecznie mając na to ochotę?

R: Proszę Pani, no jest kilka... to znaczy było, bo już odeszły na tamtą stronę... Znajoma, która kiedyś była naszą sąsiadką i od czasu do czasu odwiedzaliśmy ją, właśnie z obowiązku, żeby dowiedzieć się co słyhać. Salową, która kiedyś pracowała u nas w domu, teraz rzadko, bo ona w tej chwili jest już dementywna, ale kiedyś to częściej, raz, dwa razy do roku się ją odwiedzało... Ale tak to nie ma powodu, żeby chodzić. Człowiek ma inne zainteresowania...

Ta Pani, która u nas pracuje, to też jest osobą, którą odwiedzamy, ale to nie znaczy to, że człowiek idzie, żeby posłuchać plotek albo pogadać, bo na to nie ma czasu. Po prostu.

B: Czasem wpada się do kogoś bez zapowiedzi, czasem uprzedza się wcześniej gospodarza, jak Pani to robi?

R: Raczej się uprzedza.

B: Ile musi być czasu pomiędzy uprzedzeniem, a wizytą? Jak Pani myśli?

R: To zależy od okoliczności wizyty. Czasem jest tak, że telefonujemy: „Ja za chwilę do ciebie wpadnę, bo mam jakiś interes”.

B: A co to znaczy według Pani być dobrze ugoszczonym? Tak jak Pani do kogoś idzie, kiedy się czuje Pani dobrze ugoszczona?

R: Kiedy rozmowa jest sympatyczna, nie zbacza na głupie tematy i rozmawia się o tym co obie osoby interesuje.

B: A czy potrzebuje Pani do tego coś jeszcze? Ma Pani takie wymagania, że powinna być jakaś kawa?

R: Nie, absolutnie nie. Wystarczy, zależy od temperatury na dworze, szklanka wody albo szklanka herbaty i w porządku. I można powiedzieć przy tym i porozmawiać, nie trzeba żadnych dodatkowych. Oczywiście, jak jest przyjęcie zorganizowane z jakiejś okazji, no to stara się człowiek ten stół zastawić. Ale wie Pani, pesel zmusza do diety, więc i tak jak się gdzieś idzie, to wiadomo, że też się nie obżera człowiek. A to wszystko przez pesel.

B: Czy wspomina Pani wizytę u kogoś, która zapadła Pani w pamięć, która była nieprzyjemna, albo źle ją Pani wspomina?

R: Nie przypominam sobie nieprzyjemnych wizyt. Wie Pani, gdybym spodziewała się nieprzyjemnej wizyty, to raczej bym się nie udała do tego domu albo nie poszła na spotkanie. Po prostu nie lubię żadnych zdrażeń.

B: To chciałabym, że pomyślała teraz Pani o jakiejś wizycie, która była dla Pani ważna z jakichś względów, która zapadła Pani w pamięć, była ciekawa... Żebyśmy tak szczegółowo o niej sobie porozmawiały.

R: Jak poszliśmy prosić o rękę synowej! Bo jest taki zwyczaj, że chłopaka rodzice idą do rodziców panny młodej, obwieszczają, że młodzi chcą się pobrać i „Co wy na to?”. To może ta wizyta...

B: I jak to wyglądało od początku? To się umawia, czy się nie umawia? Niech mi Pani trochę o tym opowie.

R: No oczywiście telefonicznie, że: „Przyjdziemy do was, bo mamy ważną sprawę” i potem: „Słuchajcie jest taka sprawa, że młodzi chcą się pobrać, co wy na to?”. Uzgadniamy sprawę wesela, tutaj to było właśnie ważne. A innych historii to ja nie pamiętam... Może jakieś, stypa czyjaś...

B: Ale ciekawi mnie właśnie to, co powiedziała Pani o tym umawianiu się z rodziną synowej. To się odbyło u nich w domu?

R: Tak.

B: I co, oni się domyślali, że jest taka kwestia?

R: Tak, synowa jest koleżanką mojej córki z czasów szkoły i ona właściwie tu się wychowywała. Ale, że syn jest leniwy człowiek to daleko nie szukał (*śmiech*). I w ten sposób wszyscy się domyślali, że tak będzie, ale formy zostały zachowane, gwoli tego, żeby mieć przyjemne wspomnienia.

B: A czy Państwo przygotowywali się jakoś do tej wizyty, czy był jakiś strój, czy był jakiś prezent?

R: Nie, powiedzmy tradycyjnie pół litra, prawda? No oczywiście, dla tradycji, nie dlatego, że ktoś lubi wypić, ale gwoli tradycji mąż pół litra w kieszeni miał, no i przysliśmy w konkury. Oczywiście pół żartem, pół serio, ale gwoli tradycji.

B: Stało pół litra na stole, ale czy coś było jedzone albo pite?

R: Nie, nie, bo to była taka sprawa okazjonalna, oni też swoje zajęcia mają i nie można komuś zajmować za dużo czasu, chociaż to w pewnym sensie bliska rodzina. Tak jak normalnie, bez żadnej emfazy.

B: A proszę mi powiedzieć jak długo trwała ta wizyta? Nie wiem, to było pół godziny, to były dwie godziny?

R: Może to trwało z godzinę, półtorej zanim obgadało się problemy z weselem. Kto, co aplikuje...

B: Czyli podział obowiązków?

R: Otóż to – i gdzie, i jak, i kto będzie gościem z tej strony, i kto z tej i suma summarum, ile to będzie gości? Teraz jak to będzie w kościele, jak to będzie w urzędzie stanu cywilnego, bo wtedy jeszcze nie było konkordatowych wizyt prawda? No druga strona, duża też taka wizyta była, jak zięć przyszedł prosić o rękę córki, to też to było bardzo eleganckie. Przyszedł z kwiatami, buknał w mankiet, padł na kolana i w ogóle „ach och”. Rodzina tradycyjna proszę panią, ja tu nawet mam swoich pradziadków, tutaj siedzą na zdjęciu... Moja babcia, mój dziadek, mama i rodzeństwo mamy na tym zdjęciu jest. To jeszcze z czasów jak oni mieszkali w Winnicy na Ukrainie. Dziadek miał tam fabrykę maszyn rolniczych. Jeżeli Pani sobie życzy bliżej tam podejść, to proszę tam sobie podejść i zobaczyć tych moich...

B: A z którego to jest roku?

R: Proszę Pani, to jest okres przedrewolucyjny, albo 16 rok, albo sto lat temu... Nie sto lat temu to już była rewolucja, czyli z wcześniejszego. Proszę bardzo – babcia siedząca tu, dziadek tu, moja mama tu, bratowa mamy, bracia, siostra... A to są moi rodzice, rok trzydziesty piąty. Ojciec i mama. Ze starych zdjęć mama

jak miała szesnaście lat. A tu nasze potomstwo – syn i córka. Robione przez artystę fotografa, bo w rodzinie był artysta fotograf z Poznania. No i ładnie zrobił.

B: A proszę mi powiedzieć, tak jak patrzy Pani na takie zwyczaje codzienne, jak wyglądały teraz, jak wyglądały przez ostatnie lata... Pamięta Pani ze swojego dzieciństwa? Takie właśnie chodzenie w gości. Czy coś się zmieniło?

R: To znaczy ja nie mogę powiedzieć, bo w mieście, gdzie mieszkaliśmy, byliśmy właściwie to obcy. Bo tam był wujek, ale oni się szybko przenieśli tu, do tego miasta. Mama i ojciec zostali sami. To były takie czasy, że ojciec musiał ukrywać swoją dawną przeszłość, że był oficerem, więc to tak było... Ja nie pamiętam, żeby w domu były jakieś uroczystości, jakieś przyjęcia... A poza tym było wtedy siermiężnie, bo wiadomo jakie były zarobki, a rodzicom zależało na tym, żeby mnie wykształcić, no więc nie było takich wielkich spotkań. Z najbliższymi sąsiadami może były jakieś znajomości albo spotkania. Może spotkań nie było, ale jakieś takie chwilowe zetknięcia. Właściwie koleżanki, koledzy, to czasami przychodzili, ale to też właściwie trochę mało... Dla mnie to też było krępujące, te wszystkie perturbacje były spowodowane tym, że mieliśmy niekorzystne warunki mieszkaniowe i dlatego. Ja się wstydziałam koleżanki i kolegów zapraszać do domu. Dlaczego się wstydziałam? Bo nie było łazienki. To był ten powód wstydu. A pokoje były duże dwa. No ale potem mając siedemnaście lat wyjechałam, a moi rodzice, żyjąc w tych czasach, ciułałi pieniądze, żeby mi dać na stację, na wyżywienie, na dojazdy do domu raz, na dwa tygodnie. Mama nie pracowała, mama udzielała lekcji muzyki, bo mama grała. Właściwie z dzieciństwa to najlepiej wspominam godziny spędzone przy pianinie mojej mamy, a ja tam się gdzieś bawiłam w kącie ze zwierzętami – z psami, z kotami z papugą, z kanarkami.

B: A podczas różnych spotkań, czy to w czasie Pani dzieciństwa, czy młodości, czy teraz, czy towarzyszy wam muzyka?

R: To znaczy kiedyś to było tak, że na przykład... Najzabawniejsze spotkanie to było tutaj w domu, z okazji Wszystkich Świętych. Rodzina przyjechała. No i oczywiście u nas przyjęcie, jemy... Aż w końcu zaczął się *Taniec Łabędzi* – walc Czajkowskiego, zaczęliśmy się po prostu wygłupiać. Tak to bywa, spotkają się, wracają z cmentarza, wypijają kieliszek i potem *Taniec Łabędzi* odstawiają. A kiedyś to muzyka raczej nie... Trudno prawda wpaść w gust. Jedni lubią muzykę lekką, łatwą i przyjemną, inni klasyczną. No nie będę Vivaldim zawracać głowy ludziom, którzy lubią na przykład Big Band. To jest raczej trudne do przyjęcia, chyba że to jest raczej przyjęcie połączone z tańcami. No to wtedy tak, to jest raczej jakaś muzyka. I to wtedy jeszcze jak mieliśmy mniejsze mieszkania, jak byliśmy bardzo młodzi, w naszym pierwszym domu, oczywiście – taka parapetówka, tacy zaproszeni goście, to była muzyka... Ale to było pięćdziesiąt lat temu! Przeszło pięćdziesiąt, to było zupełnie coś innego.

B: A teraz jak są spotkania?

R: Nie, teraz to nie ma proszę Panią, właśnie z tego aspektu, że nie wszyscy lubią muzykę. Oczywiście, jeżeli jest się posiadaczem jakiejś świeżej, ciekawej płyty..., a jeżeli ktoś lubi muzykę, to proponuje: „Słuchaj, włączę?”. Mam taką kuzynkę, ona ma piękny komplet płyt, ona w [małym mieście w woj. wielkopolskim] mieszka, jak tam pojedziemy, to ona czasem coś włącza, ale potem rozmowa się zaczyna toczyć i ta muzyka przeszkadza – bo hałas niepotrzebny. Właściwie to nie uważam, żeby muzyka w naszym wieku... Bo Pani musi brać pod uwagę, że rozmawia Pani z osobą, której pesel zaczyna się od 38 i w związku z tym to są zupełnie inne zapatrywania, motywacje niż młodszego pokolenia. Jak młodsze pokolenie tutaj bywa, jak tutaj dzieci były w domu i one organizowały swoje przyjęcia, to myśmy się wynosili na górę, albo w ogóle i koniec. Żeby nie przeszkadzać, nie krępować.

B: Czyli, że Państwo, poza tym, że mieli swoich gości, to jeszcze dzieci miały swoich gości. I kto to najczęściej był, jeżeli chodzi o gości dzieci?

R: Koleżanki, koledzy, najpierw z klasy, potem ze studiów, no a poza tym, jeżeli chodzi o gościnność, no to my przez bardzo długi czas gościliśmy pielgrzymów. U nas najczęściej bywali księża, którzy tam chodzą, też ze względu na poziom intelektualny, lepiej porozmawiać z księżmi, niż z takimi fanatycznymi pielgrzymami.

B: I jak często to się zdarzało?

R: No raz do roku, bo co roku są pielgrzymi.

B: Ale że co roku?

R: Co roku przyjmowaliśmy do pewnego czasu, ale potem jak siły opadły, to już nie mogliśmy tak się ekspansować. To już nie chodziło o wydatek finansowy, tylko po prostu trzeba i pościel zmienić...

B: Jak długo oni wtedy zostawali?

R: Jeden dzień. Przychodzili, kolacja, potem rano śniadanie i wybywali. A że tu jest duży dom to nawet był okres, że było dwunastu księży. Nawet ta kanapa była rozkładana. No tylko, tak jak mówię, od paru lat dwóch czy trzech, już nie przyjmujemy, bo po prostu nie mamy siły.

B: To jednak trzeba przygotować dom, prawda?

R: Oczywiście, trzeba przygotować i trzeba potem ogarnąć ten dom, a trudno mi wymagać od osoby, która nam pomaga, żeby dodatkowo jeszcze zajęła się naszymi gośćmi. I tak dobrze, że jak do mnie goście przyjeżdżają, to ona przygotowuje pościel, rozłoży kanapy...

B: To teraz chciałabym żebyśmy jeszcze porozmawiały trochę dalej o tej drugiej stronie, czyli właśnie o przyjmowaniu gości. Jak to jest? Powiedziała Pani, że jak dzieci były młodsze, to przychodziły koleżdy i koleżanki do dzieci, przyjeżdża i przyjeżdżała rodzina, sąsiedzi, pielgrzymi, czy ktoś jeszcze?

R: Ale kogo jeszcze bym mogła przyjmować?

B: No nie wiem, są na przykład takie zwyczaje, są takie rodziny, że jak przychodzi listonosz to trzeba go ugościć.

R: Nie, przesada. Przecież to mogło być potraktowane jako jakaś forma łapownictwa, czy czegoś. Przychodzi listonosz, przychodzi kurier, wręcza się kwotę i do widzenia. Nie ma powodu zapraszać i ugościć, niby z jakiej racji? Przecież to też będzie krępować. Niech Pani weźmie pod uwagę nasz status. Inteligentny i status społeczny. No przecież zwykły listonosz czuje się na baczność wobec starej doktorki. No to też trzeba wziąć pod uwagę.

B: Proszę sobie wyobrazić, że siedzi Pani w domu, w domowym ubraniu i nazwijmy to, nie do końca świeżej fryzurze, w domu jest lekki nieporządek. Dzwoni bliski znajomy i mówi, że jest pod domem i czy może wpaść.

R: Ale oczywiście, nie ma najmniejszego problemu.

B: Czyli zdarzają się też takie wizyty, że przychodzą niezapowiedziani goście.

R: Dwa lata temu... Lato piękne, zatrzymuje się samochód, moja kuzynka, która jest akurat u nas na wakacjach, na tarasie, a wysiadają dwoje ludzi i pytają: „Tutaj był dom Kazimierza, czy wie Pani, gdzie on jest?”. A to architekt, on budował ten dom, ale potem dom został przebudowany, więc kuzynka mówi, że to właśnie tu i że prosimy, prosimy. A że lato piękne, usiedliśmy ogrodzie, jest takie piękne miejsce, gdzie można usiąść, obiad podać... Tego problemu nie ma, kto przyjdzie jest przyjęty. Z wyjątkiem żebraków. Tego to

nie cierpię. Żebraków nie cierpię. Tym bardziej, że mam taką jedną, którą znam od dzieciństwa, bo ona jako dziecko była pacjentką, i zawsze przychodzi, bo potrzebuje na bilet, bo potrzebuje na lekarstwo, a potem się przekonałam, że ona potrzebuje pieniądze, żeby pójść do monopolowego. Absolutnie nie, zagroziłam, że policję wezwę jak jeszcze raz przyjdzie i będzie molestować.

B: Co ogólnie lubi pani w przyjmowaniu gości? Albo co lubi Pani najbardziej?

R: Intelktualną rozmowę, to lubię. Jeżeli mam odpowiedni poziom do rozmowy, do dyskusji.

B: A czego Pani nie lubi?

R: Nie lubię plotek, nie lubię obmawiania, nie lubię gadania o kimś, czy coś mu się stało. Małe miasteczko ma to do siebie, że nie ma tajemnic. Kiedyś to była taka wylęgarnia rozmów u fryzjera. Ale całe szczęście zmieniły się czasy i teraz jest się umówionym na godzinę i nie ma tam pogaduszek. A kiedyś jak się szło do fryzjera, to trzeba było swoje odsiedzieć. No i oczywiście słyszało się wszystko: „A ten z tą, a tamten z tamtą, a ten to, a ten śmo, a ten pobił żonę.”. To bzdury. Szkoda na to czasu.

B: A czy zdarza się, że jakiś gość się zasiedzi? Co Pani wtedy robi?

R: Nic nie robię, pozwalam mu siedzieć tak długo, aż mu się nie znudzi.

B: A jacy goście zostają na noc? Albo może zostawali?

R: No to tacy, którzy przyjeżdżają z terenu.

B: I gdzie oni wtedy śpią?

R: No mamy pokoi dość sporo... Oczywiście, pokoje syna, córki są wolne, dobudowane dwa pokoje i jeszcze olbrzymi strych, który jest umeblowany meblami, które kiedyś były reprezentacyjne, więc on jest też taki, że można używać. Tak jak mówię, dwunastu księży nocowałam.

B: A na ile taka wizyta, że ktoś zostaje na noc, na ile to zmienia taki codzienny rytm dnia, czy to w ogóle jakoś wpływa?

R: No na tyle wpływa, że trzeba pościel przyszykować, że trzeba rozłożyć kanapę, do stołu nakryć jeden talerz więcej, nie widzę żadnego problemu w tym.

B: A proszę mi powiedzieć, kto w Państwa związku jest odpowiedzialny za umawianie się z gośćmi albo przygotowanie do wizyty, sprzątanie gotowanie. Czy macie jakieś takie podział między sobą.

R: Proszę Pani, po pięćdziesięciu pięciu latach małżeństwa to wszystko razem się robi. Nie ma jakiegoś podziału. Ze względu na moje ograniczenia, powiedzmy takie, że nawet trudno mi adres telefoniczny wykręcić kogoś, kogo nie mam w postaci fotografii, no to mąż mi pomaga. Ale zawsze wszystko razem robiliśmy. Jeżeli na przykład przyjęcie z okazji imienin męża, to on jest zobligowany, żeby obdzwonić gości i tak dalej. Jeżeli moje przyjęcie, to ja obdzwaniam gości i zapraszam. Po prostu to jest chyba normalne.

B: A na przykład prezenty? Któreś z państwa specjalizuje się w kupowaniu prezentów?

R: To też razem. Większa, powiedzmy, orgia prezentów to była jak dzieci były mniejsze, jak wnuki były małe, no to wtedy to była bardzo ważna sprawa przygotować prezenty, a teraz to tak nawet w ostatnich czasach bywa, że daje się kupon wypisany, na przykład tu masz kupon na psa. Albo kupon na uprzęż dla tego psa. Jak on realizuje, jak kupuje tego psa, to my zwracamy pieniądze. Na przykład córka wyjeżdża za granicę, no to kieszonkowe proszę bardzo. Raczej to w ten sposób. Jakie prezenty? Jak się wraca z jakiegoś pobytu, to jakieś gościńce się przywozi. Zależy gdzie. Jak z sanatorium to kosmetyki, jak gdzieś innego, jak dobre łakocie dają, no to łakocie. Trudno to określić, żeby to był jakiś problem. Żaden problem. Jeśli chodzi o jakieś intelektualne prezenty, to teraz już nie ma księgarni, ale kiedyś chodziliśmy z mężem do księgarni,

oglądaliśmy jakie są nowości. Z nowości to też byliśmy przygotowani przez prasę, bo *Wiedza i Życie* tam ma taką rubrykę, gdzie są nowe książki podane, w *Wyborczej* też są te reklamy nowych książek, edycji nowych książek. To my tak oglądamy i się zastanawiamy, komu co by odpowiadało i po prostu tak się kupuje. Teraz mamy problem, bo nie mamy księgarni. Ale teraz też można w internecie zamówić. To też nie problem. Mąż korzysta z internetu, bo ja już niestety nie widzę. Poza tym, jeżeli chodzi o dzieci, to raczej pytamy się co wam potrzeba, a jak potrzeba, to właśnie koperta z pieniędzmi. Albo kupon. Jak sobie załatwisz, to my ci zwrócimy pieniądze. No bo to jest najwygodniej. Jakies durnostojki nakupować – po co? Mnóstwo jest jakiś durnostojek, jakaś cukiernica, to jakaś patera. Miałam taką przyjaciółkę, ona już nie żyje, ale co imieniny, to właśnie coś takiego kupowała, większość takich rzeczy, które niepotrzebne są, to właśnie od niej dostawałam. Jakies puzdereczko... Po co? Ale tak było, że musiała coś przynieść, to przynosiła. Szła, kupowała, wysilała się... Rozumiałam to doskonale, ja jej w rewanżu zawsze książki, to było najłatwiej...

B: Tak jak przygotowuje się Pani do wizyty, dajmy na to ma przyjść rodzina, czy jakoś specjalnie przygotowuje Pani dom? Jakies ozdoby?

R: Nie, wszystko jest normalnie. Tylko stół się rozkłada i znosi się jakies krzesła i zastawę.

B: A ma Pani jakies specjalne obrusy, specjalną zastawę?

R: Oczywiście, oczywiście. Mam zastawę gościnną, która się w zmywarce nie tłucze, nie zmywa się z nich malunek, bo jest taka, której nie można w zmywarce używać... No i sztucce srebrne podaje się. Ale to są święta, czy powiedzmy imieniny, człowiek stara się, żeby ten stół był ładnie udekorowany. Na święta są specjalne obrusy, kiedyś to były na Wielkanoc w kurczaki, a na Boże Narodzenie w choinki, teraz to są te zmywalne obrusy. Teraz to są chusteczki papierowe takie okazjonalne świąteczne.

B: Ale tak jak na co dzień, powiedzmy mieliby przyjść sąsiedzi, to wtedy nie wyciąga Pani tej specjalnej zastawy?

R: Nie, to taką normalną zastawę, którą się na co dzień używa. Oczywiście nieobtłuczona, a ze względu na wygodę to wszystko to, co się w zmywarce zmieści. A nie, żeby potem stać godzinę i pucować. A niektóre są takie, że niestety do zmywarki nie włożysz, bo potem wyjmiesz bez wzorku.

B: A proszę mi powiedzieć, czy każdy kto wchodzi do Pani do domu jest gościem? I czy sąsiad to też jest gość?

R: Oczywiście, że każdy kto przychodzi do domu, oprócz żebraka, każdy jest przyjęty tak jak gość. Jeżeli ma czas to potraktuje się go małą przekąską, jeżeli nie ma czasu to chociaż chwilę posiedzenia.

B: A czy zdarza się Pani, że spędza Pani czas z kimś nie zapraszając go do siebie? Już tłumacze o co mi chodzi. Na przykład ma Pani taki rytuał rozmawiania przez telefon, jak się Pani kontaktuje z wnukiem?

R: Z wnukiem przez Skype 'a.

B: Czy to przypomina Pani jakoś goszczenie? Czy tam widzi Pani jakies elementy gościnności?

R: Nie, to jest jak „gadał dziad do obrazu”. Chociaż obraz odpowiada. Nie, nie, moje pokolenie nie uważa tego za sensowne. Bo moje pokolenie uważa, że jeżeli można kogoś objąć, przytulić, to jest zupełnie co innego. A gadanie do obrazu to jest co innego... Nawet chociaż wnuk, ten starszy mieszka w M. pod Kanadą, pokazuje swoje mieszkanie, co nowego kupił do mieszkania... Ale to też jest takie, wie Pani, dla mnie sztuczne. Po prostu sztuczne.

B: To jednak potrzeba dotyku, takiej obecności obok.

R: Ale oczywiście, oczywiście.

B: Co to znaczy, że ktoś jest gościnnie? Dla Pani?

R: Ktoś jest gościnnie – po prostu nie stwarza dystansu pomiędzy kimś kto przychodzi do człowieka, nawet z jakimś interesem. Nie stwarza się dystansu.

B: A czy Pani uważa siebie za osobę gościnną?

R: Raczej tak. Ja lubię ludzi. Nie wykonywałabym swojego zawodu gdybym nie lubiła ludzi, prawda? Od tego by trzeba zacząć.

B: No tak, bo tych ludzi to się przewijają niesamowite ilości. Tak naprawdę trzeba też dobrze ugościć ludzi w swoim gabinecie, żeby się poczuli dobrze.

R: A poza tym trzeba zrozumieć każdego człowieka, nawet jeżeli on jest zdenerwowany, złośliwy, nastawiony krytycznie, nawet czasem agresywnie. No trzeba po prostu czasem porozmawiać. No wie Pani, do każdego zawodu trzeba mieć powołanie, dlatego trudno porównywać człowieka, który nie spełnia zawodu służebnego dla ludzi, z kimś kto powiedzmy jest wykształcony i nauczony od dzieciństwa, żeby służyć ludziom.

B: A co to znaczy być dobrym gościem?

R: To znaczy być takim, który nie przestawia mebli i nie upija się i nie robi awantury. Każdy inny gość jest dobry.

B: Czy zgadza się Pani z powiedzeniem: „Gość w dom, Bóg w dom”?

R: Oczywiście.

B: I co to przysłowie Pani zdaniem oznacza?

R: To znaczy, że należy przyjąć każdego, kto przyjdzie do ciebie z jakąś sprawą. Z wyjątkiem żebraków.

B: Czy kogoś jeszcze poza żebrakiem nie przyjęła by Pani do domu?

R: No kogoś w stanie upojenia alkoholowego bym nie przyjęła. Chyba, że go dobrze znam. Chociaż nie miałam takiej przyjemności, by znać jakichś takich pijaków. Ale wyobrażam sobie, że bym powiedzmy położyła spać, powiedziała: „Śpij, jak wytrzeźwiejesz to będziemy gadać.”. Ale to raczej właśnie ludzi, którzy są w stanie nie panowania nad swoimi emocjami, tego bym nie przyjęła.

B: Czyli są niebezpieczni?

R: Tak.

B: Czy uważa Pani, że Polacy są gościnnym narodem?

R: Myślę, że tak.

B: I w czym to się przejawia jak tak się patrzy na polską tradycję?

R: No właśnie na polską tradycję jak się patrzy. Chociażby na tradycję polskich dworaków. Przecież to było wiadome, chociażby z opowieści mojej mamy. Jak były zajazdy, jak jechało się do sąsiadów linijkami, bo to wtedy były takie pojazdy czy kuligi czy jakieś takie historie. To były takie właśnie dawne zwyczaje. I chyba tak dalej jest, bo właśnie jak tutaj odbywamy spotkania studentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku, to też potem się razem idzie, jakąś pizzę się zje, albo się posiedzi i się pogada. No przecież to też jest forma jakiejś gościnności, jakiegoś obcowania z ludźmi.

B: I kto wtedy to organizuje takie wyjście?

R: Spontanicznie – ktoś rzuci hasło i się idzie. Są takie przyjęcia, powiedzmy piknik w lesie albo wyjazd do jakiegoś miejsca atrakcyjnego, to są organizowane przez władze tego Uniwersytetu, ale takie spontaniczne spotkania, to wystarczy, że po wykładzie ktoś powie: „Słuchajcie, idziemy na pizzę.”. I idziemy.

B: To są te spotkania z grupy Uniwersytetu, bo o tym Pani mówi prawda?

R: Tak, bo to są właśnie spotkania, są wykłady, są zajęcia w grupach, są też pikniki, wyjazdy wszelkiego rodzaju. To też można traktować jako gościnność. Bo dotychczas myślałam, że Pani pyta o indywidualne spotkania, prywatne, a takie też są.

[pojawia się kot]

B: A jeżeli chodzi o zwierzęta i o gości, to kocur nie lubi i siedzi sobie w samotności?

R: Nie, on lubi i też przychodzi. Na przykład jak przemierzamy się do pokoju, razem z mężem oglądamy telewizję, to jak Pani zauważyła to kotka na tym, kocur na tamtym siedzi. Ale teraz rano kot raczej woli ciszę i spokój, bo nie wiadomo, czy zaraz nie wyciągną elektroluks i nie będą hałasować. A koty bardzo nie lubią hałasu. Więc teraz on poszedł pospać. A teraz szczególnie, jak córka przychodzi na obiad, bo ona tu pracuje w aptece i obiady jada w domu i ona tutaj go głaszcze. Kotka z tej strony, kocur z drugiej, a ona, jak boginka Sziwa, musi mieć cztery pary rąk. Nie powiedziałabym, że on nie jest gościnny. Na przykład jak przyjeżdża rodzina... To zależy od pory dnia można powiedzieć. To wtedy on się objawia. Papuga jak zwykle, jak słyszy Pani, ona jest bardzo gościnna, ona lubi... Ona się dopomina kontaktu i żąda, żeby mąż obok niej siedział i ją karmił z łyżeczki. Kiełbasę lubi... Oj jak ona kiełbasę lubi... Nie wiem czy jej w naturze ktoś kiedyś dawał kiełbasę, ale ona lubi. I ser biały z marmoladą. Kochana papuzia. Dzięki niej jest nam wesoło. Ale jaki ona ma doskonały słuch. Czasem jest transmisja opery i jak jest jakaś znana aria, to ona ten sam ton. Tak samo gwizdże. Słuch ma doskonały, nie fałszuje.

B: Tak myślę o co jeszcze mogłabym Panią zapytać. Tak sobie myślałam o tym jakbyśmy mogły skupić się na jakiejś ostatniej tutaj wizycie gości u Państwa. Żeby ją tak prześledzić krok po kroku co się działo. Ja wiem, że pewne rzeczy są oczywiste dla Pani, ale ja jednak przyjeżdżam z innego miejsca i jestem zainteresowana tymi drobnymi zwyczajami. Jaka była taka ostatnia wizyta, zanim myśmy przyjechały?

R: Po prostu ucieszyłam się, że ktoś jest zainteresowany człowiekiem, jeżeli chce porozmawiać, że można powiedzieć przekazać swoje poglądy, swoje zapatrywania, bardzo proszę, chętnie, cieszę się, nie widzę powodu do odmowy takiej rozmowy.

B: Ale myślę bardziej o jakiejś rozmowie, która była wcześniej, zanim myśmy przyjechały.

R: No przyjeżdżają kuzynki, i to już jest wtedy zupełnie inna para kaloszy. Bo to rodzina przyjeżdża. Wiadomo, witamy się albo na dworcu, albo na schodach, prowadzi się do pokoju, przynosi się im bambetle, wieszaki się szykuje, żeby można się rozwiesić. Potem wspólny posiłek, najczęściej to w kuchni, bo to najwygodniej – obok zmywarka. Specjalnych jakichś takich ekstra przygotowań poza przygotowaniem lepszego obiadu...

B: Co to znaczy dla Pani „lepszy obiad”? Co to jest?

R: Taki wymagający większego wkładu pracy. Najprościej to jest zrobić jakiś Eintopf, a mam taką kuzynkę, że jak jej zrobię gulasz z żołądków, to na jest tak szczęśliwa, że szkoda gadać. Moi krewni często przyjeżdżają ze stworami, na przykład z psem albo syn jak przyjeżdża z psem, koty traktują tego psa bardzo przyjaźnie, tylko nie pozwalają na skrócenie tego dystansu. Jak pies za bardzo się pcha, to jest wtedy syczenie, albo nawet ostrzeżenie, że zaraz pazurem dostanie.

B: Czyli mówi Pani, że nie Eintopf, tylko co by Pani przygotowała...

R: Eintopf to jest zupa, w której jest kawał mięsa, w której jest dużo jarzyn i to wystarczy za cały obiad, oprócz deseru.

B: I wtedy to Pani przygotowuje?

R: Czasem... Też to zależy od jakichś bliższych stosunków. Bo wiadomo, jeżeli przyjeżdża ktoś, na przykład rodzice zięcia, to ja staram się przygotować jakąś pieczeń, jakieś pyzy, jakieś sosy, jakąś czerwoną kapustę z jabłkami, albo coś takiego ekstra, *specialite de la maison*. Jak wnuk przyjeżdża tutaj ze Szczecina, puki był w Polsce, to była zupa wiśniowa, do dzisiaj w Ameryce opowiada jaką babcia najlepszą zupę owocową robiła. Czasem wysiłem się i zrazy zwijane robię z wołowiny, z dobrym sosem.

B: A czy zawsze jest deser?

R: Tak, od pewnego czasu uważam, że zawsze musi być deser. Te desery to zazwyczaj są kompoty, które mąż z pasją przygotowuje. Kiedyś jak ogród miał drzewa owocowe, to trzeba było to zagospodarować. A deser zawsze jest. A jeżeli ktoś przyjeżdża albo przychodzi poza sobotą, niedzielą, to przygotowuję ciasto.

B: Tak jak dzisiaj!

R: Tak, wiedziałam, że Panie przyjeżdżają to zrobiłam ciasto. Maliny zebrane w ogrodzie, bita śmietana, proszę uprzejmie.

B: Dobrze, mamy przygotowanie jedzenia, mamy deser, tak jak Pani powiedziała – nie jakieś specjalne porządki, ale żeby było schludnie...

R: Bo u nas jest zawsze zadbanie i jest porządek, ja po prostu nie lubię bałaganu. Po prostu nie lubię i wszystko musi być na swoim miejscu. Tylko papuga mnie nie słucha – ona czasem jak jest zła, to wywala swój karmnik, swoje pojemniki z wodą, demoluje klatkę, ale to już trzeba ścierpieć...

B: Czyli ile Pani zajmują przygotowania do czyjegoś przyjazdu? Bo znam takie rodziny, które się trzy dni przygotowują do czyjejs wizyty. Pani brzmi tak bardziej praktycznie.

R: Oczywiście, bo proszę Panią, przez całe życie pracowałam zawodowo i to trzeba było podzielić czas. Poza tym, nigdy nie wiedziałam, kiedy przyjedzie karetka, kiedy zawiezie mnie do szpitala. Miałam okres siedmiu lat, kiedy non stop byłam pod telefonem i tu nie było czasu na zastanawianie się. Trzeba było sobie życie tak zorganizować, żeby ze wszystkim zdążyć. I wychować dzieci... Nie dać się zwariować. W związku z tym wszelkie udogodnienia kuchenne mam pod ręką, zmysł organizacyjny też chyba mam. Nie widzę problemu w przyjęciu kogokolwiek, nie widzę problemu w tym, żeby powiedzmy jakiś specjalny wysiłek robić... Przyjęcie gości to nie jest jakiś zabieg korupcyjny. Nie robię tego, żeby mieć jakiś zysk. Po prostu normalnie. Kto tu przychodzi to wie czego się może spodziewać. Nie ma jakiejś takiej nadzwyczajnej rzeczy.

B: A to jest ciekawe, bo jednak różni ludzie mają zupełnie różne, odmienne podejście do gości. Dla niektórych to jest taki, nie wiadomo jaki wysiłek, wręcz heroiczny, a dla niektórych kawałek normalnej codzienności.

R: Tak, kawałek normalnego życia. Po prostu trochę inaczej i bardzo dobrze. Powiedzmy jak moje kuzynki tutaj przyjeżdżały na wakacje, to zawsze starają się i coś pomóc, potem razem polecimy czy na spacer, czy na cmentarz.

B: Ale na wakacje przyjeżdżają to na jak długo?

R: Na dwa tygodnie, trzy...

B: Acha, czyli siedzą u Państwa tak całkiem długo?

R: Tak, tak oczywiście. Tylko jak przyjeżdża z psem to trzeba jakoś to towarzystwo jakoś pogodzić. Biedny jest tylko ten kot, który mieszka na parapecie. Bo psy uważają, że to jest obcy kot i go gonią. Ale, też przeżyje...

B: I one wtedy śpią w tych pokojach gościnnych?

R: Tak.

B: I proszę mi powiedzieć, czy cały czas musi Pani wtedy doglądać...

R: Nie, absolutnie....

B: Czyli one sobie same radzą, same otwierają lodówkę...

R: Oczywiście, oczywiście na tej zasadzie. Przecież one wiedzą, że ja jestem też zajęta, też mam swoje sprawy i to nie jest tak, że ja muszę nad wszystkim panować. Jesteś głodna, to lodówka jest otwarta, przecież nie ma zamka. Po prostu normalnie, wszystko normalnie, w jak najzwyczajniejszy sposób.

B: Właściwie jak długo już macie taką tradycję odwiedzania?

R: Od samego początku. Od czasu, kiedy powiedzmy przestrzeń lokalowa pozwalała na to, że można gościć kogoś miesiąc z rodziny. Nie ma żadnego problemu.

B: A jak bliskie to są kuzynki? Jaki jest stopień pokrewieństwa?

R: To wszystko są kuzynki, ale to dalsze... Najbliższa to jest mi siostra stryjeczna i kuzynka ze strony mamy – mamy brata córki, to tego typu pokrewieństwa. Ja nie mam rodzeństwa, więc bliższego pokrewieństwa nie mam. Mąż ma siostrę, brata, więc czasami się odwiedza. Ale to jest tak – siostra zalatana, zapracowana, brat, bratowa też zapracowani, więc to są wszystko okazjonalne spotkania.

B: A czy mają też Państwo takich znajomych, czy taką rodzinę, do której jeżdżą Państwo na dłużej? Tak, żeby zostawać właśnie na kilka dni?

R: Znajomych nie, ale rodzina, jeżeli potrzeba, to tak. Jeżeli mąż na przykład jest w szpitalu, to ja się zwalam do kuzynki i przez ten czas jego pobytu nie mieszkam w hotelu. A jeżeli chodzi o jakieś wyjazdy, to my preferujemy, jak byliśmy młodzi, to za granicę, teraz to sanatoria. Do najbliższej kuzynki, to jeździmy okazjonalnie z powodu imienin.

B: Tak patrzę, czy o coś jeszcze mogę Panią zapytać...

R: Myślałam, że będzie Pani pytać o uchodźców. Ale to myślę, że to nie ma sensu.

B: To każdy ma różne poglądy na ten temat.

R: Oczywiście, oczywiście. Ja rozumiem opór kościoła, bo boją się o wpływy... Ale z drugiej strony moja rodzina ze strony mamy mieszkała w okolicy multi kulti. Z okazji zaproszenia na Białoruś przez pacjentkę, pojechaliśmy zobaczyć, jak to wyglądało. Tam na środku rynku jest kościół katolicki, niedaleko cerkiew, a vis a vis synagoga. To jest absolutnie multi kulti. Moja rodzina tam przez jakiś czas mieszkała w takim multi kulti. I wszystko było bardzo dobrze. I to właśnie takie multi kulti uratowało mamie życie, bo jak ojca zmobilizowali na front, to znaczy jak oddali ruskim pod auspicje rosyjskie, tych jeńców, zgromadzonych żołnierzy, oficerów, to Żyd przyszedł do mamy i mówi: „Pani kapitanowo, niech Pani bierze dziecko i niech Pani stąd wyjeżdża, bo będą wywózki w głąb Rosji”. Żyd przyszedł ostrzec moją mamę, to ja mam mieć pretensję do Żydów, czy nie lubić prawosławnych?

B: Moja rodzina też została uratowana dlatego, że mieszkali w multikulti. I byli i Ukraińcy, Rosjanie, Niemcy, Żydzi i wszyscy mówili w tych samych językach i wszyscy jedli u siebie nawzajem w domu...

R: Oczywiście. I dlatego, wie Pani, to jest taka sprawa, że nie rozumiem wzbudzania w narodzie jakichś takich ostrych... Przecież my dawniej, ja też przeżyłam ten antysemityzm, bo to był 86 rok, kiedy były takie ostre antysemityczne ruchy. My już wchodziliśmy w życie zawodowe pełną parą, to już był prawie pierwszy stopień zdawania egzaminów, to już się to odczuwało – ten profesor gdzieś wyjechał, tego nie ma, o tym się źle mówi... Takie wielkie gościnne przyjęcia my mamy z okazji zjazdów. Na przykład moja szkoła – gimnazjum, moje klasy robią co jakiś czas zjazd, to są szalenie miłe zjazdy. W szkole to były co pięć lat się spotykaliśmy, na studiach też co pięć lat jest zjazd. I proszę sobie wyobrazić, że z okazji pięćdziesięciolecia od dyplomu nas jeszcze była cała duża grupa, tak jak nas dwieście osób kończyło studia (bo to razem ze stomatologami) to teraz na pięćdziesięciolecie zakończenia studiów... Proszę zobaczyć, ile nas jeszcze przyjechało (*pokazuje zdjęcie*). Oczywiście trzeba odliczyć około stówy, która już nie żyje. Ale niech Pani zobaczy jaka liczna gromada przyjechała.

B: No dobrze, to myślę, że jeszcze na koniec takie pytanie metryczkowe. Mieszka Pani ze swoim mężem, czy ktoś jeszcze z wami mieszka?

R: W tej chwili nie, oprócz kotów i papugi. Syn mieszka w [nazwa miasta w woj. zachodniopomorskim] z synową, wnuki obaj są w Ameryce, a córka mieszka na wsi pod tym miasteczkiem, tylko przychodzi na obiad, albo jak ma dyżur, to się wykapać, włosy ułożyć i zjeść śniadanie. A dyżuruje w aptece.

B: Jak duży jest ten dom? Mniej więcej?

R: On ma 140 metrów albo więcej... Bo tu jest cała część dobudowana. Trzeba było budować za dawnych czasów, troszkę mieliśmy więcej ze względu na to, że oboje lekarze, więc miejsce na gabinet... A potem jak się zmieniła sytuacja, czasy to zmieniliśmy dach na skośny i dobudowaliśmy tamtą przestrzeń na poczekalnię i na gabinet, na piętrze i duży strych jest. Tak, że duże mieszkanie. Dokładna ilość metrów to mąż powie.

B: I tu jest ogród?

R: Ooo, a jaki ładny. Bardzo proszę, pokażę ogród!

B: Ja bardzo chętnie zobaczę.

R: No to chodźmy do ogrodu,

B: I ja bardzo chętnie, jakbym mogła zobaczyć miejsce, w którym się spotykacie, właśnie jak są goście. Czyli tu jest jeden taras, na którym można się spotykać, z huśtawką...

R: Tak tak, proszę bardzo, to jest mój ogród... Jak piękny jest ten złotokap, nawet w książce o drzewostanie i krzewach tego miasta jest umiejscowiony w okresie kwitnienia, bo autor zrobił specjalne zdjęcie i napisał „w przydomowym ogrodzie przy tej ulicy jest taki piękny złotokap”, więc jesteśmy uwiecznieni.

B: I tu mają Państwo taką altanę, tak to można nazwać...

R: Tak, to pięknie wygląda w sierpniu. Tutaj są dwie huśtawki, które koty uwielbiają. Jak to się rozkłada poduchy, to one są pierwsze. Tu kiedyś był basen, ale to bardzo niewypał, bo raz, że za zimno, nikt się tu nie kąpał, troszkę synowie i jego koledzy... A tutaj są rybki... I tak to wygląda.

B: I tu widzę, że macie Państwo grilla, organizujecie jakieś takie spotkania z grillem?

R: No tak, oczywiście, dzieciaki przyjadą, to wtedy w lecie. Co dwa tygodnie syn z synową przyjeżdżają w lecie, to wtedy oczywiście – jak jest pogoda odpowiednia to się tutaj siedzi, je...

B: A jakieś jeszcze atrakcje dla dzieciaków są specjalne?

R: No w tej chwili to już nie, bo przecież trudno trzydziestoletni chłopak, drugi dwadzieścia dwa...

B: Czyli prawników jeszcze nie ma?

R: Nie, jeszcze nie ma... No widzi Pani, a tutaj mamy butleję, jak widzi Pani tutaj jest mnóstwo motyli. Specjalnie jest butleja po to, żeby tych motyli było dużo. I tak wygląda ten nasz ogród. Tutaj nawet jest takie miejsce, gdzie można wieszać bieliznę, tutaj troszkę krzaków owocowych, fasolka na tyczce...

B: A szklarnia to już jest kogoś? To już nie jest Państwa?

R: To już nawet nie jest szklarnia, to już jest rudera...A ta zarośnięta, to już nie jest nasza część...

B: Czyli cały ten dom jest Państwa? Ogromna przestrzeń...

R: Całe szczęście, że mam od dwudziestu lat panią, która dwa dni w tygodniu się zajmuje ogrodem a dwa dni w tygodniu domem.

B: Czyli to też pomaga utrzymać ten porządek, o którym Pani mówiła...

R: Ale oczywiście, a poza tym my dwoje raczej nie świnimy, prawda? O! Opowiadałam o tej furtce dla sąsiadów, to pokażę... O, tu na wprost... Wie Pani, to przejście powstało dlatego, że sąsiadka swojego czasu robiła nalewki. Jak ona zrobiła jedenaście gatunków nalewek i prosiła: „Chodźcie, zdegustujemy!”, no to jak wracać ulicą? Nie można (*śmiech*). No, więc jest furtka... Druga furtka prowadzi do wyjścia, można wtedy przejść i wyjść na ulicę tędy. Chociaż tutaj trudno, bo tu drzewa zarosły... To dostaliśmy od przyjaciela tego świerka... Taki był malutki, a przez te lata urósł wyższy niż dom... Tu jest takie wyjście, że z pralni łatwo wyjść wywiesić pranie...

B: A ile tu jest takich pokoi gościnnych? Mówiła Pani, że jak byli księża na pielgrzymce, to było ich dwunastu... Ile jest takich pokoi?

R: No pokoi to tak: na górze jest sypialnia, dwa pokoje dzieci, dwa pokoje dodatkowe no i strych, na strychu też mogą położyć dwie, trzy osoby. ... O tutaj w moim gabinecie jest jeszcze miejsce, że mogą kogoś położyć.

B: Czyli idealny dom do przyjmowania gości.

R: Oczywiście i to nam sprawia radość, bo jak my jesteśmy sami, to przyjemnie jest mieć kogoś. A tu na górze są pokoje i duży, wygodny strych, na którym to strychu jest jeden wygodny pokój i maszyna do szycia, i stół do ping ponga.

B: No dobrze, to ja myślę, że to wszystko na temat gościnności. Bardzo Pani dziękuję.

R: Proszę uprzejmie.



ARCHIWUM
BADAŃ
NAD ŻYCIEM
CODZIENNYM



ARCHIWUM
BADAŃ
NAD ŻYCIEM
CODZIENNYM